

duch ciemności



Dedykowane Robertowi Blochowi

*Widziałem ziejącą pustkę mrocznego świata,
Gdzie czarne planety krążą bez celu,
Gdzie krążą w przerażeniu niezauważalne,
Bez wiedzy, pożądania, imienia.*

Nemezis

Ostrożni badacze zawahają się przed podważeniem powszechnego przekonania, że Robert Blake zginął od pioruna albo z powodu silnego nerwowego szoku, spowodowanego elektrycznym wyładowaniem. To fakt, że okno, do którego był zwrócony twarzą, nie zostało stłuczone, ale natura nie raz już dowiodła, że stać ją na najdziwniejsze czyny. Wyraz jego twarzy mógł po prostu wynikać z dość specyficznego układu mięśni, nie mającego żadnego związku z tym, co zobaczył, natomiast notatki w jego pamiętniku mają niewątpliwy związek z bujną wyobraźnią rozbudzoną przez powszechnie panujące przesady i jakieś dawne sprawy przez niego odkryte. Jeżeli zaś chodzi o niezwykle wydarzenia, jakie miały miejsce w opustoszałym kościele na Federalnym Wzgórzu - wnikliwy analityk ochoczo skojarzy je z szarlatanerią, świadomą czy też nieświadomą, z jaką w pewnym stopniu Blake był potajemnie związany.

Bo przecież ofiara była pisarzem i malarzem całkowicie oddanym dziedzinie mitów, snu, terroru i zabobonów, skwapliwie poszukującym scen i efektów niezwykłych w Milwaukee. Znał zdaje się różne stare opowieści, choć w pamiętniku temu zaprzecza, a jego śmierć stłumiła zapewne w zarodku jakiś potworny żart, który miał potem znaleźć odzew w literaturze.

Wśród tych jednakże, którzy badali i korelowali cały ten przypadek, kilku obstało przy mniej racjonalnych i powszechnych teoriach. Skłonni są traktować Blake'a dosłownie i w szczególny sposób uwypuklają pewne fakty, takie jak niewątpliwy autentyzm starego kościelnego zapisu, potwierdzone istnienie jeszcze przed 1877 rokiem znienawidzonej i nieortodoksyjnej sekty "Gwiazdna Mądrość", odnotowane zniknięcie w 1893 wścibskiego reportera Edwina M. Lillibridge'a, a ponad wszystko - wyraz niesamowitego lęku na wykrzywionej twarzy zmarłego młodego pisarza. Jeden spośród owych badaczy w stanie krańcowego fanatyzmu wrzucił do zatoki przedziwnych kształtów kamień i równie zadziwiająco ozdobioną metalową skrzynię, znalezioną w starej kościelnej iglicy - ciemnej, bez okien, nie zaś w tej wieży, w której wymienione przedmioty znajdowały się pierwotnie, jak wspomniane jest w pamiętniku Blake'a. Choć tak szeroko zostało to potępiane zarówno przez czynniki oficjalne, jak i nieoficjalne, człowiek ów - powszechnie szanowany lekarz, przejawiający zamiłowanie do dziwacznego folkloru - oświadczył, że uwolnił ziemię od czegoś, co groziło zbyt wielkim niebezpieczeństwem, aby można było

żyć spokojnie.

Czytelnik sam musiał dokonać wyboru między tymi dwoma szkołami opinii. Dokumenty podają istotne szczegóły z pewnym sceptycyzmem, pozostawiając innym naszkicowanie obrazu, jaki widział Blake - albo udawał, że widzi. Teraz, po dokładniejszym zapoznaniu się z pamiętnikiem, w spokoju i bez pośpiechu postaramy się podsumować ten tajemniczy łańcuch wydarzeń z punktu widzenia ich głównego aktora.

Młody Blake powrócił do Providence zimą z 1934 na 1935 rok i zajął piętro sędziwego domu przy porośniętym trawą dziedzińcu opodal College Street - na szczycie ogromnego wzgórza od strony wschodniej, w pobliżu kampusu Brown University i tuż za zbudowaną z marmuru biblioteką Johna Haya. Było to przytulne i fascynujące miejsce, pośród niewielkiej ogrodowej oazy przypominającej wieś, gdzie ogromne, przyjacielskie koty wygrzewały się w słońcu na dachu pobliskiej szopy. Kwadratowy dom w stylu georgiańskim kryty niskim dachem ze świetlikami, klasyczne drzwi wejściowe z amatorską rzeźbą, okna z małymi szybami i różne ozdoby wczesnodziwiewnastowiecznego rzemiosła. Wewnątrz były sześciodziałowe drzwi, podłoga z szerokich desek, kręte schody w stylu kolonialnym, białe kominki z okresu Arama, a w tylnej części domu kilka pokoi położonych trzy stopnie poniżej normalnego poziomu.

Z gabinetu Blake'a, dużego pokoju od południowego zachodu, z jednej strony widać było frontową część ogrodu, podczas gdy z okien od zachodu - przed jednym z nich stało biurko - rozciągał się widok na wzgórze i wspaniałą panoramę rozpościerających się poniżej dachów w mieście, spoza których jarzyły się tajemnicze zachody słońca. Na dalekim horyzoncie rysowały się rozległe purpurowe zbocza, a na ich tle, w odległości około dwóch mili, wznosiło się widmowe Federalne Wzgórze, najeżone dachami, niezbyt strome, którego odległe zarysy falowały tajemniczo, przybierając fantastyczne kształty, kiedy dym z kominów w mieście kłębił się ponad nimi i spowijał je swymi oparami. Blake doznawał dziwnego uczucia, że patrzy na jakiś nie znany mu wieczysty świat, który mógłby zniknąć we śnie, choć może by nie zniknął, gdyby kiedykolwiek spróbował go odnaleźć i wkroczyć doń osobiście.

Kazał sobie przysłać z domu większość potrzebnych mu książek i kupił parę antycznych mebli pasujących do tego mieszkania, po czym zabrał się do pióra i pędzla, żyjąc samotnie i wykonując samodzielnie wszystkie najprostsze prace domowe. Pracownię miał od północnej strony na poddaszu, wypełnioną wspaniałym światłem wpadającym przez świetliki. Tej zimy napisał pięć najlepszych opowiadań - "Zwierzę ryjące pod ziemią", "Schody w krypcie", "Shaggai", "W dolinie Prath" oraz "Biesiadnik z gwiazd". Namalował też sześć obrazów, będących studium niesamowitych krajobrazów.

O zachodzie słońca często siadywał przy biurku i rozmarzony wpatrywał się sennie w rozległy teren - w ciemne wieże Memorial Hall widoczne poniżej, dzwonnice sądu w stylu georgiańskim, wyniosłe wieżyczki w dolnej części miasta i rozmigotany, spiczasto zakończony kopiec w oddali, którego nieznanne uliczki i szczyty dachów, rozstawione jak w labiryncie, żywo pobudzały jego wyobraźnię. Od kilku okolicznych znajomych dowiedział się, że to rozległe zbocze jest zamieszkiwane przez Włochów, choć większość ze znajdujących się tam domów pochodzi z czasów jankeskich, a także irlandzkich. Często wpatrywał się przez lornetkę w ten nieosiągalny świat, widoczny tylko spoza kłębiącego się dymu, i wybierał sobie poszczególne dachy, kominy oraz wieżyczki rozmyślając nad kryjącymi się w nich dziwami pełnymi przeróżnych tajemnic. Nawet oglądane przez lornetkę Federalne Wzgórze wydawało się obce, prawie baśniowe i jakby związane z nierealnymi, a tak niepojętymi cudami znajdującymi wyraz w opowiadaniach i obrazach Blake'a. Wrażenie trwało jeszcze długo potem, jak wzgórze spowił fioletowy mrok usiany błyskiem latarń niby gwiazdy, a zalew światła z gmachu sądowego i czerwony napis na budynku Industrial Trust rozsnuwały lunę tak jaskrawej poświaty, że noc zdawała się być groteską.

Spośród wszystkich budowli na Federalnym Wzgórzu najbardziej fascynował Blake'a ogromny, ciemny kościół. Podczas dnia stał pełen niezwykłej godności, natomiast o zachodzie słońca ogromna wieża i spiczasta iglica majaczyły czernią na tle rozplamionego nieba. Wydawało się, że wznosi się na jakimś specjalnie podwyższonym terenie, albowiem ponura fasada i zaokrąglona część od północy, z opadającym dachem i ostro zakończonymi oknami od góry wznosiła się wyniosłe nad skupiskiem kalenic i kominów otaczających kościół. Zbudowany z kamienia, wyglądał niezwykle ponuro i surowo, znać na nim było ślady dymu i szturmów, szalejących przez całe stulecia a może i dłużej. Styl, jak zdołał to stwierdzić patrząc przez lornetkę, należał do wczesnego neogotyku poprzedzającego majestatyczny okres Upjohna, zawierał też linie i proporcje z okresu georgiańskiego. Zbudowany był zapewne w 1810 albo 1815 roku.

W miarę jak mijały miesiące, Blake obserwował tę odległą, zdumiewającą budowlę z coraz większym zainteresowaniem. Ponieważ w olbrzymich oknach nigdy nie pojawiało się światło, przekonany był, że kościół jest opustoszały. Im dłużej się przyglądał, tym usilniej pracowała jego wyobraźnia, aż w końcu obudziło to w nim najdziwniejsze myśli. Był przekonany, że owa szczególna aura opustoszenia włada nad całym otoczeniem, nawet gołębie i jaskółki stroniły od zadymionych okapów kościoła. Wokół innych wież i dzwonnicy dostrzegał liczne stada ptaków, tutaj jednak nigdy się nie zatrzymywały. Blake pokazywał ten kościół różnym znajomym, ale nikt nie był na Federalnym Wzgórzu i nie miał pojęcia, co się teraz dzieje w tym kościele, nikt też nie znał jego przeszłości.

Wiosną Blake'a ogarnął niepokój. Zaczął pisać z dawną zaplanowaną powieść - głównie o przetrwaniu kultu czarownic w Maine - ale zupełnie mu nie szło. Coraz więcej przesiadywał przy oknie wychodzącym na zachód i wpatrywał się w dalekie wzgórze i czarną, krzywą wieżę, od której stroniły ptaki. Kiedy na drzewach w ogrodzie pojawiły się delikatne listki, świat okryło nowe piękno, a mimo to Blake był coraz bardziej niespokojny. Wtedy to właśnie po raz pierwszy przyszło mu na myśl, żeby się wybrać do miasta, potem wejść śmiało na tajemnicze zbocze i znaleźć się w tym spowitym dymem świecie urojeń.

Pod koniec kwietnia, tuż przed okrytą tajemnicą wieków nocą Walpurgii, Blake wybrał się w nieznaną. Brnąc przez niezliczoną ilość uliczek na krańcu miasta i odrażające zapuszczone podwórka, natknął się w końcu na aleję prowadzącą w górę do zniszczonych wiekami schodów, pochylonych doryckich portyków i do kopuł z zamglonymi szybami. Czuł, że droga ta prowadzi do znanego od dawna, a nieosiągalnego świata za mgłą. Znajdowały się tam obdrapane biało-niebieskie tabliczki z nazwami ulic, które nic dla niego nie znaczyły, a po chwili zauważył dziwne, kolorne twarze przechodzących ludzi i napisy w obcym języku nad jakimiś dziwnymi sklepami, w budynkach koloru wyblakłego brązu. Nigdzie nie dostrzegając tych przedmiotów, które widział z oddali; tak więc raz jeszcze pojął, że Federalne Wzgórze widziane z daleka było światem urojonym, którego nigdy nie dosięgnie stopa ludzka.

Co pewien czas zniszczona fasada kościoła albo rozpadająca się iglica wieży wyłaniały się przed jego oczami, ani razu jednak nie dojrzał poczerńiałej, masywnej budowli, której poszukiwał. Kiedy zapytał sprzedawcę w sklepie o wielki kamienny kościół, ten tylko uśmiechnął się i potrząsnął głową, choć mówił swobodnie po angielsku. Blake wspiał się wyżej, ale tutaj cały teren wydał mu się jeszcze bardziej obcy, oszalamiający labirynt cichych uliczek bezkresnie wiodących gdzieś na południe. Przeszedł przez dwie albo trzy szerokie aleje i wtedy wydało mu się, że mignęła mu znajoma wieża. Znowu spytał jakiegoś kupca o masywny kościół zbudowany z kamienia i tym razem mógłby przysiąc, że zdziwienie, jakie ów okazał, było sztuczne. Na jego ciemnej twarzy pojawił się lęk, który chciał ukryć, ale prawą ręką zrobił jakiś dziwny znak.

Nagle po lewej stronie wyłoniła się czarna wieża na tle przesłoniętego chmurami nieba, ponad rzędami brązowych dachów osłaniających pokrętne uliczki prowadzące na południe. Blake z miejsca ją rozpoznał i ruszył w tym kierunku, przez brudne, niewybrukowane uliczki, prowadzące w górę do głównej alei. Dwukrotnie zbłądził, nie miał już jednak odwagi pytać o drogę starców ani kobiet siedzących na progach domów, ani też dzieci, które pokrzykując bawiły się w ponurych uliczkach.

Wreszcie na południowym zachodzie zobaczył wyraźnie wieżę, a na końcu alei wznosiła się ogromna kamienna budowla. Stał przez moment na wietrznym, niezabudowanym placu, wyłożonym brukiem i otoczonym po przeciwległej stronie wysokim murem. A więc, koniec jego poszukiwań, bo na wysokim, płaskim wzniesieniu, otoczonym żelazną barierą i zarosłym chwastami, a zabezpieczonym właśnie tym usypanym wałem - oddzielny, pomniejszy świat wznosił się całe sześć stóp nad okolicznymi ulicami - stała ponura, ogromna budowla, której autentyczność, mimo zupełnie nowej perspektywy, nie podlegała żadnej wątpliwości.

Opustoszały kościół był w stanie kompletnego zniszczenia. Niektóre kamienne przypory zupełnie się rozleciały, a kilka delikatnych kwiatonów ledwie widniało pośród brunatnego zielska i trawy. Okopcone gotyckie okna nie były nawet potłuczone, choć futryny w wielu miejscach powypadały. Blake zastanawiał się, jak to możliwe, że te pomalowane na ciemne kolory szybki tak dobrze przetrwały, choć wokół było tylu chłopców, a wiadomo, jakie mają zwyczaje chłopcy na całym świecie. Masywne wrota zachowały się nietknięte i były szczelnie zaryglowane. Na wierzchu obwałowania otaczającego cały ten teren znajdowało się zardzewiałe żelazne ogrodzenie, którego brama - na szczycie schodów prowadzących od placu - była zamknięta na kłódkę. Pustka i rozkład okrywały to miejsce niczym całun, natomiast okapy, pod którymi nie chciały się gnieździć ptaki, i czarne ściany nie obrosnięte bluszczem były tak ponure i złowieszcze, że Blake nie byłby w stanie tego wyrazić.

Na placu znajdowało się niewiele ludzi, lecz Blake zauważył policjanta stojącego od strony północnej, podszedł więc do niego, żeby dowiedzieć się czegoś o kościele. Był to wysoki, potężny Irlandczyk, toteż Blake zdumiał się, gdy w odpowiedzi zrobił tylko znak krzyża i szepnął, że ludzie tutaj nawet o nim nie wspominają. Na usilne naleganie Blake'a wyjaśnił pośpiesznie, że włoscy księża ostrzegają wszystkich przed tym kościołem i twierdzą, że zamieszkiwał tu niegdyś jakiś potwór i pozostawił swoje ślady. On sam nasłuchiwał się o tym potworze od ojca, który z kolei pamiętał jeszcze z dzieciństwa różne opowieści.

Dawnymi czasy przebywała tu jakaś sekta - sekta banitów, która przywoływała straszne rzeczy z nieznanych głębi nocy. Sprowadzono zacnego księdza, aby wypędził to, co przybyło, choć poniektórzy twierdzili, że tylko światło zdołałoby tego dokonać. Gdyby żył ojciec O'Malley, potrafiłby wiele powiedzieć. Teraz jednak nic więcej zrobić nie można, jak tylko zostawić to w spokoju. Obecnie nie wyrządza już nikomu krzywdy; zaś ci, którzy mieli z tym do czynienia, już nie żyją albo są gdzieś daleko. Uciekli jak szczury, kiedy zaczęły złowieszcze pogłoski w roku 1877 i kiedy zaczęto się zastanawiać nad tym, że w sąsiedztwie coraz to ktoś bezpowrotnie znika. Któregoś dnia, z braku spadkobierców, wkroczy tu zarząd miasta i przejmie tę budowlę na własność, ale nic dobrego nie spotka tego, kto się jej dotknie. Lepiej, aby pozostawić to w spokoju, choćby na wiele lat, aż się samo rozleci, bo w przeciwnym razie zostaną poruszone moce, które powinny spoczywać na zawsze w swej czarnej otchłani.

Po odejściu policjanta Blake stał w miejscu i wpatrywał się w ponurą strzelistą budowlę. Poruszył go do głębi fakt, że tak jak wszystkim, i jemu wydawała się groźna, i zastanawiał się, czy w tych starych opowieściach, o jakich wspominał policjant, tkwi choć ziarno prawdy. Najprawdopodobniej były to tylko legendy, do których przyczynił się złowrogi wygląd tego miejsca, ale nawet jeśli tak było istotnie, to jedna z tych legend została już pobudzona do życia.

Spoza rozproszonych chmur wyłoniło się popołudniowe słońce, ale nie było już w stanie rozjaśnić pokrytych plamami i szerniałych ścian starej wieży wyrastającej z wysokiego wzniesienia. Dziwne, że wiosenna zieleń nie objęła brązowych, uschniętych zarośli na otoczonym żelaznym ogrodzeniem dziedzińcu. Blake spostrzegł, że bezwiednie zbliżył się do obwałowania i zardzewiałego płotu w nadziei, że może znajdzie jakieś przejście. Ta poczerńiała świątynia wabiła nieprzeparcie. W pobliżu schodów nie było żadnego otworu w ogrodzeniu, jednakże od strony północnej okazało się, że brakuje kilku prętów. Mógł wejść po schodach i wąskim obmurowaniem na zewnątrz ogrodzenia dostać się do otworu. Skoro wszyscy tak drżą przed tym miejscem, nie napotka ze strony

tutejszych mieszkańców na żaden sprzeciw.

Nim ktokolwiek zdążył zauważyć, znalazł się na górze i wewnątrz ogrodzenia. Wtedy obejrzał się, a na placu kilka osób najwyraźniej cofało się do tyłu wykonując taki sam znak prawą ręką, jak właściciel sklepu, koło którego przechodził. Kilka okien zamknęło się z hukiem, a jakaś tęga kobieta wypadła na ulicę, aby wciągnąć grupkę dzieci do rozpadającego się, nie pomalowanego domu. Otwór w płocie można było przejść bez trudu, toteż po chwili Blake przedzierał się już pośród zbutwiałej, skotłowanej gęstwiny zarośli na opustoszałym dziedzińcu. Tu i ówdzie wałały się zniszczone resztki kamieni nagrobkowych, świadczące o tym, że niegdyś grzebano w tym miejscu zmarłych; musiały to być jednak bardzo odległe czasy. Ten masywny kościół robił z bliska przytłaczające wrażenie, jednakże Blake zwalczył ogarniający go dziwny nastrój i zbliżył się chcąc wypróbować trzy ogromne wrota we frontowej części kościoła. Wszystkie były jednak mocno zaryglowane, wobec tego postanowił obejść dokoła tę cyklopową budowlę w poszukiwaniu jakichś mniejszych drzwi albo jakiegoś możliwego do pokonania otworu. Nie był pewien, czy rzeczywiście pragnie dostać się do środka tej nawiedzonej, opustoszałej i mrocznej świątyni, jednakże jej tajemniczość przyciągała go nieprzeparcie.

Ziejące czarną pustką i nie zabezpieczone piwniczne okno na tyłach kościoła zapewniało dogodne przejście. Zajrzawszy do środka Blake zobaczył podziemną czeluść wypełnioną pajęczyną i kurzem i lekko rozjaśnioną promieniami zachodzącego słońca. Rumowisko gruzu, stare baryłki, połamane meble i skrzynki - oto, co dojrzał, choć wszystko pokrywał całun kurzu zacierający wyrazistość wszelkich konturów. Pokryte rdzą resztki pieca do ogrzewania świadczyły, że budynek ten był w użyciu jeszcze w czasach wiktoriańskich.

Jak w zamroczeniu, prawie nieświadomie, Blake wczołgał się przez okienko i stanął na betonowej podłodze pokrytej grubą warstwą kurzu i gruzem. Piwnica była ogromna, bez żadnego przepierzenia, a w odległym prawym rogu, mimo gęstego mroku, zauważył czarne, łukowate sklepienie, najwyraźniej prowadzące ku schodom. Zawładnęło nim przytłaczające uczucie, gdy sobie uświadomił, że znajduje się wewnątrz tego widmowego budynku, ale starał się je zwalczyć próbując się zorientować w otoczeniu. Znalazł całą, nietkniętą baryłkę w zwałach kurzu i potoczył ją pod okno, żeby ułatwić sobie wyjście. Następnie, zebrawszy się na odwagę, ruszył przez tę obszerną, wypełnioną pajęczyną przestrzeń w kierunku łukowatego sklepienia. Prawie dławiąc się wszechobecnym kurzem i cały omotany pajęczyną dotarł do zniszczonych schodów prowadzących w zupełną ciemność. Nie miał żadnego światła, wymacawał drogę rękami. Na ostrym zakręcie napotkał zamknięte drzwi, u których po krótkich poszukiwaniach odnalazł starą klamkę. Otworzyły się do wewnątrz korytarza, wyłożonego zjedzoną przez korniki boazerią, do którego przedostawało się trochę światła.

Stanąwszy na parterze Blake zaczął błyskawicznie badać teren. Wszystkie wewnętrzne drzwi były nie zamknięte, mógł więc swobodnie przechodzić z pomieszczenia do pomieszczenia. Ogromna nawa robiła wprost niesamowite wrażenie, tumany i zwały kurzu pokrywały ławki, ołtarz, ambonę z klepsydrą i daszek nad nią, a grube pajęcze liny ciągnęły się pomiędzy ostro zakończonymi łukami sklepienia krużganku, oplatając liczne gotyckie kolumny. Nad całym tym milczącym pustkowiem igrało odrażające ołowiane światło, bo promienie zachodzącego słońca przedostawały się poprzez prawie że czarne szybki w oknach absydy.

Malowidła na tych szybkach pokrywało tyle kurze, że nie sposób było się zorientować, co przedstawiają, ale to, co zdołał odróżnić, raczej mu się nie podobało. Wzory były w przeważającej części konwencjonalne, a ponieważ posiadał znajomość wszelkiego dziwnego symbolizmu, dopatrywał się wśród nich powiązania ze starożytnymi malowidłami. Kilka postaci świętych miało wyraz nudy, niepomyślnych na krytycyzm wiernych, zaś jedno z okien zdawało się być tylko ciemną przestrzenią z rozrzuconymi spiralami dość dziwnego blasku. Kiedy Blake odwrócił wzrok od okien, zauważył, że okryty pajęczyną krzyż nad ołtarzem nie jest normalnym krzyżem, ale przypomina pierwotny krzyż aukh albo ansata z mrocznych egipskich czasów.

W zakrystii, znajdującej się za absydą, Blake znalazł spróchniałe biurko i półki aż do sufitu pełne zbutwiałych, rozpadających się książek. Tutaj po raz pierwszy doznał prawdziwego wstrząsu, bo tytuły tych książek okazały się bardzo wymowne. Były to czarne, zakazane księgi, o jakich większość zdrowych na umyśle ludzi nigdy w życiu nie słyszała albo najwyżej wieść o nich docierała w potajemnych i pełnych lęku szeptach wyjętych spod prawa i przerażający skarbiec sekretów wątpliwej natury i starych reguł, które wsączały się bezustannie w strumień czasu, poczawszy od epoki pierwotnego człowieka, a nawet od okresu tych mrocznych, legendarnych dni, kiedy nie było jeszcze ludzi. Blake niektóre z tych książek czytał - łacińską wersję odrażającej książki "Necronomicon", złowrobną "Liber Ivonis", niesławną "Cultes des Goules" Comte'a d'Erlette, "Unaussprechliches Kulten" von Junzta oraz starego Ludwiga Prinna diaboliczną księgę "De Vermis Mysteriis". Inne znał tylko ze słyszenia albo w ogóle o nich nie wiedział, jak na przykład "Pnakotic Manuscripts", "Book of Dzyan" oraz rozpadający się wolumin zupełnie nieokreślonego charakteru, zawierający jednak znaki i wykresy oszałamiające, nie obce człowiekowi studiującemu okultyzm. A więc krążące tutaj pogłoski nie były bezpodstawne. To miejsce stanowiło niegdyś siedzibę zła starszego niż ludzkość i o szerszym zasięgu niż znany nam wszechświat.

W rozlatującym się biurku znajdowała się oprawna w skórę księga zapisów, wypełniona notatkami w jakimś dziwnym kryptograficznym piśmie. Rękopis składał się z powszechnie znanych tradycyjnych symboli używanych dzisiaj w astronomii, a niegdyś w alchemii, astrologii i innych wątpliwych sztukach - były więc słońce, księżyc, planety, postacie i znaki zodiaku - zgrupowane na całych stronicach tekstu, z odstępami i paragrafami, co świadczyło o tym, że każdy symbol odpowiadał jakiejś literze alfabetu.

W nadziei, że potem rozszyfruje ten kryptogram, Blake wsunął książkę do kieszeni płaszcza. Wiele książek stojących na półkach tak go zafascynowało, że postanowił je jeszcze kiedyś wypożyczyć. Dziwił się, że tak długo stały przez nikogo nie tknięte. Czyżby był pierwszym człowiekiem, który przewyciężył ten paraliżujący i tak powszechny lęk,

z powodu którego to miejsce przez sześćdziesiąt lat było opustoszałe i nikt tu nawet nie zajrzał?

Dokonawszy inspekcji parteru Blake ruszył przez całą widmową nawę ku frontowej kruchcie, gdzie dojrzał drzwi i schody prowadzące zapewne do szerniejszej wieży i iglicy - tak dobrze mu znanych z odległości. Wspinanie się było doświadczeniem zaskakującym, bo kurz zalegał całymi pokładami, zaś pająki tutaj, w tym zaduszonym miejscu, zadziały najowocniej. Schody były kręte, z wąskimi drewnianymi stopniami, a co pewien czas miały Blake przedzielną kratę, z której rozciągała się przyprawiająca o zawrót głowy panorama miasta. Choć nie widać było żadnych lin, spodziewał się znaleźć jeden albo nawet kilka dzwonów w tej wieży, której wąskie, osłonięte żaluzjami ostrołukowe okna obserwował tak często przez lornetkę. Spotkało go jednak rozczarowanie, bo kiedy wspiał się już na sam szczyt schodów, nie dostrzegł żadnych dzwonów, a znajdujące się tam pomieszczenie poświęcone było zupełnie innemu celowi.

Miało jakieś piętnaście stóp kwadratowych i cztery ostrołukowe okna, przez które sączyło się słabe światło, były bowiem osłonięte okiennicami z przegniłych już desek, które zostały potem umocowane następnymi szczelnymi okiennicami, także już zbutwiały. Pośrodku zakurzonej podłogi wznosił się kamienny filar o dziwnym dosyć kształcie, około czterech stóp wysoki, średnicy zaś około dwóch stóp, pokryty wszędzie wyrytymi niezbyt starannie i zupełnie nieczytelnymi hieroglifami. Na filarze spoczywała metalowa skrzynia o niesymetrycznych wymiarach; uniesiona pokrywa trzymała się na zawiasach, a w środku znajdowało się coś, co pod kurzem, nagromadzonym przez dziesiątki lat, wyglądało na jakiś przedmiot w kształcie jajka albo też nieregularnej kuli wielkości około czterech cali. Wokół filara stało kołem siedem gotyckich krzesel z wysokim oparciem, całkiem nieźle zachowanych, a za nimi, wzdłuż ścian wyłożonych ciemną boazerią, widniało siedem wielkich posągów z kruszącego się, pomalowanego czarną farbą gipsu, przypominającego zagadkowo rzeźbione megality z tajemniczej Wyspy Wielkanocnej. W jednym rogu tego omotanego pajęczyną pomieszczenia znajdowała się drabina wmontowana w ścianę, po której wchodziło się do drzwi zapadowych, a prowadzących do pozbawionej okien iglicy.

Kiedy Blake przywykł do tego słabego oświetlenia, zauważył dziwne płaskorzeźby na otwartej skrzyni z złotawego metalu. Zbliżywszy się zaczął ścierać kurz rękoma i chustką do nosa, a wtedy zobaczył monstrualne i zupełnie nieznanne mu postacie, które najprawdopodobniej żyły, ale nie przypominały żadnego istnienia, jakie mogłoby się rozwinąć na tej planecie. Czterocalowy kulisty kształt okazał się prawie czarnym, czerwonooprażkowanym wielościanem, o kilku nieregularnych płaskich powierzchniach; był to albo bardzo cenny gatunek kryształu, albo imitacja wykonana z jakiegoś minerału, wyrzeźbionego i oszlifowanego do połysku. Nie dotykał dno skrzynki, był zawieszony na metalowym krążku podtrzymywanym siedmioma dziwnie zaprojektowanymi wspornikami, wkładającymi się symetrycznie do kątów wewnętrznych ścian skrzynki u góry. Kamień ten, raz odkryty, fascynował Blake'a z coraz większą siłą. Nie mógł od niego oderwać oczu, a wpatrując się w jego błyszczącą powierzchnię, odnosił wrażenie, że jest całkiem przezroczysty, zaś wewnątrz znajdują się zarysy światów pełnych dziwów. Przesuwały mu się przed oczyma nieznanne planety z wielkimi kamiennymi wieżami, inne znów z olbrzymimi górami pozbawionymi śladów życia i jeszcze dalsze przestrzenie, w których tylko ruch zamglonej czerni świadczył o istnieniu świadomości i woli.

Kiedy wreszcie oderwał wzrok, zauważył jakiś dziwny stos kurzu w kącie wieży koło drabiny. Dlaczego przyciągnął jego uwagę, nie potrafiłby powiedzieć, lecz coś w jego konturach pobudziło prawie uśpioną świadomość Blake'a. Przedzierając się w tym kierunku poprzez wiszące pajęczyny zaczął podejrzewać coś niezwykłego. Z pomocą chustki do nosa odkrył wreszcie prawdę, od której dech mu zaparło. Był to ludzki szkielet, który musiał tu tkwić już od bardzo dawna. Ubranie było w strzępach, jednakże guziki i szczątki materiału przemawiały za szarym garniturem. Znalazł tam jeszcze inne szczątki - butów, metalowych klamer, spinek od mankietów, spinki do krawatu o zupełnie zatartym wzorze, znak reportera z dawną nazwą "Providence Telegram" i rozpadający się skórzany portfel. Blake przejrzał go dokładnie i znalazł kilka starych rachunków, reklamowy kalendarz na rok 1883, parę wizytówek na nazwisko "Edwin M. Lillibrige" oraz kartkę z notatkami pisanymi ołówkiem.

Notatki te szczególnie go zainteresowały, toteż przeczytał je dokładnie przy oknie wychodzącym na zachód. Nie powiązany ze sobą tekst zawierał następujące sformułowania:

"Prof. Enoch Bowen wrócił z Egiptu w maju 1844 - w lipcu kupił stary kościół Dobrej Woli - jego archeologiczne prace i studia z zakresu okultyzmu znane powszechnie".

"Dr Drowne z 4-tego kościoła Baptisty ostrzega przed Gwiazdą Mądrością podczas mszy 29 grudnia 1844".

"Kongregacja 97 pod koniec 1845".

"1846, 3 zniknięcia - po raz pierwszy wspomniano o Świecącym Trapezoedrze".

"1848, 7 zniknięć - początek opowieści o krwawych ofiarach".

"Badania 1953 bez rezultatu - opowieść o jakichś odgłosach".

"Ojciec O'Malley mówi o otaczaniu czcią diabła na podstawie skrzynki znalezionej w egipskich ruinach - powiada, że przywołują coś, co nie może istnieć w świetle. Ucieka przy słabym oświetleniu, całkowicie znika przy pełnym świetle. Wtedy trzeba to przywołać ponownie. Prawdopodobnie dowiedział się o tym od Francisca X Feeneya, który wyznał to na łożu śmierci, a dołączył do Gwiazdnej Mądrości w 1849. Ci ludzie twierdzą, że Świecący Trapezoedr pokazuje im niebo i inne światy oraz że Duch Ciemności wyjawia im różne tajemnice".

"Opowieść o Orrinie B. Eddy, 1857. Przywołują go wpatrując się w kryształ, mają także swój własny, sekretny język".

"200 a nawet więcej w zgrom. 1863, nie licząc mężczyzn znajdujących się w czołówce".

"Irlandzcy chłopcy gromadzą się tłumnie w kościele w 1869 po zniknięciu Patricka Regana".

"Tajemniczy artykuł w J., 14 marca, 1972, ale nikt o nim nie wspomina".

"6 zniknięć, 1876 - tajny komitet wzywa mera Doyle".

"Akcja obiecana w lutym 1977 - kościół zamknięty w kwietniu".

"Gang - chłopcy z Federalnego Wzgórza - zagrożony. Dr ... i członkowie Rady Parafialnej w maju".

"181 osób opuszcza miasto pod koniec 1977 - nazwiska nie wymienione".

"Zaczynają krążyć upiorne opowieści, 1880 - próba sprawdzenia wiarygodności pogłoski, że żadna ludzka istota nie wstąpiła do kościoła od 1877".

"Poprosić Lanigana o fotografię tego miejsca zrobioną w 1851".

Blake wsunął kartkę do notesu, włożył do kieszeni płaszcz, po czym popatrzył uważnie na zakurzony szkielet. Znaczenie notatek było oczywiste, a człowiek ten bez wątpienia w poszukiwaniu dziennikarskiej sensacji, której nikt nie miał odwagi stawić czoła. Kto wie... może nawet nikt nie miał pojęcia o jego zamierzeniu? Ale już nigdy więcej nie powrócił do swej redakcji. Czyżby jakiś wszechpotężny lęk zmógł go w końcu i przyprawił o atak serca? Blake pochylił się nad opalizującym szkieletem i stwierdził, że znajduje się w dość niezwykłym stanie. Niektóre kości całkiem się rozpadły, inne znów porozszczeniały się na końcach. Jedne dziwnie pożółkły, inne wyglądały tak, jakby się zwęgły. Zwęglenie znać też było na niektórych szczątkach ubrania. A już w szczególnym stanie była czaszka - miała żółte plamy, a na czubku jakby przeżarł ją jakiś ostry kwas. Blake nie potrafił sobie wyobrazić, co się działo z tym szkieletem w ciągu czterdziestu lat cichego przebywania w tym grobie.

Nim zdał sobie z tego sprawę, znowu wpatrywał się w kamień, który pobudzał jego wyobraźnię i roztaczał przed oczami spowite mgłą widowisko. Dostrzegł całą procesję ludzki odzianych w togi z kapturami, których zarysy nie przypominały ludzkich postaci, i patrzył na bezkresne mile pustyni otoczonej rzeźbionymi, sięgającymi nieba monolitami. Widział wieże i mury w mrocznej podmorskiej głębi, a także wirującą przestrzeń, w której smugi czarnej mgły przesłaniały nikłe, rozmigotane opary w kolorze zimnej purpury. A jeszcze dalej dostrzegał bezkresną zatokę ciemności, gdzie bryłowate i półbryłowate kształty były rozpoznawalne tylko dlatego, że kołysały się chwiejnie, a niezbyt wyraźne oznaki ich mocnej konstrukcji świadczyły jakby o porządku górującym nad chaosem i podsuwały klucz do wszystkich paradoksów i arkanów znanych nam na świecie.

Nagle cały ten czar prysł pod wpływem przytłaczającego, nieokreślonego lęku, który prawie zaczął dławić Blake'a. Oddalił się od kamienia czując bezcielesną obecność czegoś, co obserwuje go z przerażającą natarczywością. Czuł się usidlonny przez coś, co nie było umiejscowione w kamieniu, ale co poprzez ten kamień wpatrywało się w niego i co już będzie mu nieustannie towarzyszyć, choć niedostrzegalne fizycznie. Miejsce to zaczęło mu działać na nerwy, wystarczyło zresztą samo to koszarne odkrycie, jakiego dokonał. Zapadał już zmrok, a Blake nie miał z sobą latarki, postanowił więc wyjść stąd natychmiast.

Wtem, w coraz bardziej gęstniejącym mroku, wydało mu się, że widzi jakiś nikły blask dobywający się z tego niesymetrycznego kamienia. Nie chciał patrzeć, ale coś go do tego zmuszało. Czyżby to była radioaktywna fosforescencja? W notatkach zmarłego dziennikarza wspomniane jest o Świecącym Trapezoedrze, co to być może? Czym jest ten opuszczony macek kosmicznego zła? Czego tutaj dokonano i co jeszcze się czai w tym mroku, od którego stronią ptaki? Wydało mu się, że gdzieś z pobliza doleciał jakiś nieuchwytny fetor, choć nie można było określić jego źródła. Blake chwycił wieko otwartej skrzyni o zatrzasnął. Bez oporu poruszyły się zawiasy i skrzynia została szczelnie zamknięta, a w niej ów lśniący kamień.

Podczas odgłosu zamykania rozległy się jakieś szmery w wieczystej ciemności wieży, wysoko pod sufitem. Na pewno szczury - jedyne żywe stworzenia, mogące obwieszczać swą obecność w tej przeklętej budowli, do której wtargnął Blake. A jednak odgłosy te straszliwie go przeraziły, rzucił się jak oszalały w dół krętych schodów, a potem przez upiorną nawę do piwnicy i wyostał się na pusty, spowity już mrokiem dziedziniec. Minął rozliczne ścieżki i uliczki Federalnego Wzgórza, które zaprowadziły go na normalne ulice uniwersyteckiej dzielnicy, wyłożone swojskimi chodnikami z cegły.

Blake przez kilka następnych dni nikomu nie wspominał ani słowem o swojej wprawie. Rozczytywał się w rozmaitych księgach, wertował w mieście całe stosy gazet wydawanych w ciągu wielu lat i rozpracowywał z zapamiętaniem kryptogram napotkany w oprawnej w skórę księdze, którą znalazł w zakrystii. Szyfr, jak się przekonał, nie był prosty, po długim okresie wyężonej pracy stwierdził, że nie jest to zapis w języku angielskim a ni też w łacinie, gracie, francuskim, hiszpańskim, włoskim czy niemieckim. Postanowił sięgnąć do najgłębszych źródeł swojej edukacji.

Co wieczór jak dawniej spoglądał na zachód i wpatrywał się w czarną wieżę pośród stromych dachów tego odległego i prawie baśniowego świata. Teraz jednak napełniała go jakimś nowym lękiem. Znał już bowiem kryjące się w niej dziedzictwo wiedzy powiązanej ze złem, tym bardziej więc fantazja ponosiła go niepoohamowanie w najdziwniejszych kierunkach. Z nadchodzącą wiosną wracały ptaki, a kiedy obserwował ich lot o zachodzie słońca, wiedział, że unikały posępnej, samotnej wieży jeszcze bardziej niż dotychczas. Jeżeli stado ptaków zbliżyło się do niej, zawracało i rozpraszało się w panikę - wyobrażał sobie szaleńczy trzepot ich skrzydeł, którego nie mógł usłyszeć z odległości tylu mil.

W czerwcu, wedle pamiętnika Blake'a, odniósł on zwycięstwo nad kryptogramem. Odkrył, że to był zapis w języku Aklo, którym posługiwali się wyznawcy szatańskiego starożytnego kultu, z czym zetknął się przypadkowo prowadząc niegdyś badania naukowe. Pamiętnik jest dziwnie powściągliwy odnośnie tego, co Blake odczytał, ale niewątpliwie jest jedno, że wyniki jego dociekań napełniły go lękiem i wprowadziły zamęt w jego życie. W pamiętniku są wzmianki o Duchu Ciemności, który budzi się, jeżeli ktoś zajrzy w głąb Świecącego Trapezoedru, i o obłąkańczym domniemaniu, że zostaje przywołany z głębi chaosu. On to, zgodnie z panującym przekonaniem, posiadał całą wiedzę i żąda najstraszliwszych ofiar. W niektórych notatkach Blake'a wyczuwa się lęk, gdyż duch, a Blake uważa, że został przywołany, grasuje w całej okolicy, tylko światła uliczne są dlań wałem ochronnym, którego nie może przekroczyć.

O Świecącym Trapezoedrze wspomina często, zwąc go oknem wszystkich czasów i przestrzeni, i tropi całą jego historię, począwszy od dni, kiedy został uformowany na ciemnej Yuggoth, nim jeszcze stare Bóstwa sprowadziły go na ziemię. Strzeżony pieczołowicie i umieszczony w tej dziwnej skrzyni przez krynoidy z Antarktydy, został ocalony od zagłady przez ludzi-węży z Volusii i przez całe eony bacznie strzegły go w Lemurii pierwsze istoty ludzkie. Przemierzył najdziwniejsze lądy i morza, został zatopiony wraz z Atlantydą, a potem rybak minojski wyłowił go w sieci i sprzedał ciemnoskórnym kupcom z mrocznego Khem. Faraon Nephren-Ka zbudował wokół tego kamienia świątynię z kryptą bez okien, dzięki czemu jego imię zostało wryte na wszystkich monumentach i uwiecznione w różnych zapisach. Potem spał w ruinach tej świątyni, którą kapłani i nowy faraon zburzyli, ale jakiś archeolog znowu go wykopał ku zgubie ludzkości.

Na początku lipca gazety jakby uzupełniają zapiski Blake'a, choć w sposób pobieżny i prawie że przypadkowy, tylko więc pamiętnik zwrócił uwagę na zawarte w nich wiadomości. Okazuje się, że nowa fala przerażenia ogarnęła Federalne Wzgórze, ponieważ jakiś obcy przybysz wtargnął do kościoła zionącego grozą. Włosi szeptali coś o jakimś niezwykłym zamieszaniu, stukocie i drapaniu, rozlegającym się w wieży pozbawionej okien, i prosili swoich kapłanów o wypędzenie istoty, która nawiedza ich w snach. Twierdzili, że coś ciągle waruje przy ich drzwiach, czekając, aż się ściemni, by wtargnąć do środka. Wiadomości prasowe napomykały o zakorzenieniu tu od dawna przesądach, ale nie rzucały żadnego światła na źródło ich pochodzenia. Młodzi reporterzy w obecnych czasach najwyraźniej nie znali odległej przeszłości. Opisując to wszystko w pamiętniku Blake objawia dość dziwny wyrzut sumienia, mówi o konieczności zakopania Świecącego Trapezoedru i o zlikwidowaniu tego, co spowodował, przez oświetlenie owej strasznej, wysokiej wieży. Ale jednocześnie przejawia graniczące z niebezpieczeństwem zafascynowanie i przyznaje, że owładnięty jest nienormalnym wprost pragnieniem - występującym nawet w jego snach - aby raz jeszcze wybrać się do tej przeklętej wieży i popatrzeć w głąb świecącego kamienia, kryjącego w sobie tajemnice kosmosu.

Jednakże gazeta poranna z 17 lipca napełniła piszącego pamiętnik jakimś szczególnym przerażeniem. Były to znowu wiadomości o niepokoju wciąż panującym na Federalnym Wzgórzu, w tonie półzartobliwym, ale dla Blake'a miało to wymowę tragiczną. Nocna burza zakłóciła system oświetlenia miasta na pełną godzinę, w przeciągu której Włosi popadli w lęk bliski szaleństwu. Ci, którzy mieszkali w pobliżu kościoła, twierdzili, że to coś, znajdujące się w wieży, skorzystało z wygaszonych latarni i przedostawszy się do kościoła, miało się tam i łomotało w odrażający, oblesny sposób. Potem znowu przeniosło się do wieży, skąd dochodziły odgłosy tłuczonego szkła. Może to przebywać wszędzie, gdzie zalega ciemność, umyka zaś przed światłem.

Kiedy włączona prąd, w wieży rozległo się zdumiewające szamotanie, bo nawet najślabszy promyk światła przesączający się przez osmolone, przesłonięte okiennicami okna był dla tej rzeczy nie do niesienia. Wśród szamotaniny wśliznęło się to do swej mrocznej wieży w odpowiednim momencie, gdyż pod wpływem długotrwałego oświetlenia mogłoby się znowu znaleźć w otchłani, z której wywołał je szalony obcy przybysz. Podczas owej godziny ciemności rozmodlony tłum zgromadził się wokół kościoła trzymając w deszczu zapalone świece i lampy osłonięte papierem i parasolami - świetlna gwardia mająca ocalić miasto od mary nocnej, grasującej w ciemności. Ci, którzy stali najbliżej kościoła, twierdzili, że był moment, kiedy zewnętrzne wrota załomotały złowieszczco.

Ale nawet to jeszcze nie było najgorsze. Wieczorem w "Biuletynie" Blake przeczytał, co odkryli dwaj reporterzy. Poruszeni dziwnymi i pełnymi lęku opowieściami, na przekór zalekniomemu tłumowi Włochów, wczołgali się przez piwniczne okno do wnętrza kościoła, jako że drzwi nie mogli otworzyć. Stwierdzili, że kurz w kruchcie i upornej nawie został w dziwny sposób wymieciony, a wszędzie dokoła leżały porozrzucane zbutwiałe poduszki i obite satyną ławki. Zewsząd unosiła się ohydna woń, a tu i ówdzie widniały żółte ślady i plamy, będące jakby pozostałością zwęglenia po pożarze. Otworzywszy drzwi prowadzące do wieży i zatrzymawszy się na chwilę, gdy wydało im się, że słyszą odgłosy jakby drapania, stwierdzili, że wąskie spiralne schody są zupełnie czyste.

W samej wieży zastali podobną sytuację, kurz był tam prawie wymieciony. Wspominali o siedmiokątym kamiennym filarze, o powywracanych gotyckich krzesłach i dziwacznych gipsowych posągach; zdumiewające, ale w ogóle nie napomknęli o metalowej skrzyni i rozpadającym się szkielecie. Najbardziej jednak zaniepokoił się Blake - poza wzmiankami o śladach zwęglenia i nieprzyjemnym zapachu - podanymi szczegółami w końcowej

partii opisu reporterów odnośnie potłuczonego szkła. Wszystkie ostrołukowe okna w wieży zostały wybite, a dwa w sposób zdumiewający i najwyraźniej w pośpiechu przesłonięte wyrwanym z ław kościelnym satynowym obiciem i włosiem z poduszek. Wszystko to zostało upchnięte pomiędzy zewnętrzne okiennice. Resztki satyny i kępy włosów leżały porozrzucane na świeżo wymiecionej podłodze, tak jakby komuś przeszkadzono w całkowitym zaciemnieniu wieży, jak za dawnych dni, kiedy wszystkie okna były szczelnie zasłonięte.

Pożółkłe plamy i ślady zwęglenia zauważono też na drabinie prowadzącej do szczytu wieży pozbawionej okien, jednakże kiedy reporter wszedł po niej i otworzywszy trap oświetlił latarką mroczne i cuchnące pomieszczenie, dostrzegł tylko panujący tam mrok i stos bezkształtnych szczątków zgromadzonych przy jakiejś szczelinie. Werdykt oczywiście był jeden - szarlataneria. Ktoś płał figla przesadnym mieszkańcom wzgórza albo też jakiś fanatyzm postanowił rozniecać w nich strach, najprawdopodobniej dla ich rzekomego dobra. Możliwe też, że jacyś młodzi i nieodpowiedzialni miejscowi ludzie zainscenizowali tak wymyślny żart dla zewnętrznego świata. Najbardziej zabawny był finał tego zdarzenia, gdyż policja postanowiła wysłać swego inspektora, żeby zweryfikował sprawozdanie reporterów. Trzej kolejni inspektorzy znaleźli wybieg dla uniknięcia wyznaczonej im misji, dopiero czwarty, acz niechętnie, musiał pojechać, a powróciwszy nie wniósł nic nowego do relacji reporterów.

Od tego momentu pamiętnik Blake'a wykazuje narastające objawy podenerwowania i grozy. Jego autor wyrzuca sobie beczynność i rozwodzi się szeroko nad konsekwencjami następnego wyłączenia światła. Sprawdzono, że trzykrotnie - podczas burzy - telefonował do zespołu energetycznego ogarnięty paniką i błagał, aby podjęto wszelkie środki ostrożności i nie dopuszczono do awarii prądu. Kilkakrotnie zaznacza się w pamiętniku niepokój, gdyż reporterzy oglądając mroczną izbę w wieży nie natknęli się na metalową skrzynię i kamień ani na rozpadający się szkielet. Przypuszczają, że te rzeczy zostały usunięte - ale przez kogo lub co i gdzie, nie miał pojęcia. Największe obawy jednak wykazywał w związku ze swoją osobą i tym niesamowitym powiązaniem, jakie wyczuwał, między własnym umysłem i owym zaczajonym koszmarem w odległej wieży - ową straszną rzeczą zespoloną z nocą, którą z powodu własnej brawury wyciągnął z nieprzeniknionego mroku. Nieustannie odczuwał wyrzut sumienia, a ludzie, którzy go w tym czasie odwiedzali, pamiętają, że przesiadywał przy biurku oderwany od rzeczywistości i przez zachodnie okno wpatrywał się w tę odległą strzelistą wieżę wyłaniającą się spoza dymu kłębiącego się nad miastem. W jego notatkach bezustannie pojawiają się wzmianki o jakichś strasznych snach i coraz bardziej zacieśniającym się, niesamowitym powiązaniu z ową tajemniczą rzeczą podczas snów. Wspomina na przykład, że któregoś nocy zbudził się i stwierdził, że jest ubrany, znajduje się na ulicy i bezwiednie schodzi z College Hill, zmierzając w kierunku zachodnim. Ciągłe też podkreśla, że ta rzecz w wieży dobrze wie, gdzie go można znaleźć.

Przez tydzień po trzydziestym lipca Blake zdradzał załamanie psychiczne. nie ubierał się, a jedzenie zamawiał telefonicznie. Przyjaciele zaglądający do niego wspominają coś o sznurach, które trzymał przy łóżku. Tłumaczył się tym, że z powodu nocnych wędrówek musi sobie co wieczór spętywać nogi w kostkach, mając nadzieję, że go to powstrzyma albo przynajmniej zbudzi się przy ich rozwiązywaniu.

W pamiętniku opisał swoje koszarne doznanie, które przyczyniło się do całkowitego załamania psychicznego. Trzydziestego lipca położył się wieczorem do łóżka i nagle znalazł się w nieprzeniknionym mroku, w którym z trudem torował sobie drogę. Dostrzegł tylko krótkie, horyzontalne strumienie bladego, niebieskawego światła, czuł jakiś straszliwy fetor i słyszał gdzieś w górze ponad sobą dziwną kakofonię cichych, tajemniczych dźwięków. Ilekroć się poruszył, natychmiast się o coś potykał, a każdy odgłos wywoływał pewnego rodzaju odpowiedź w górze - odgłos dziwnego szumu mieszającego się z ostrożnym pocieraniem drzewa o drzewo.

Wymacując drogę rękoma natknął się na kamienną kolumnę z pustym wierzchołkiem, innym znów razem okazało się, że po drabinie wmontowanej w ścianę, kurczowo przytrzymując się szczebli, wspina się niezdarnie tam, skąd rozchodzi się straszny fetor i skąd bije weń piekący żar. Przed oczami jego przesuwają się jak w kalejdoskopie przedziwne obrazy, co pewien czas przemieniając się w ogromną, nieprawdopodobną otchłań nocy, w której wirowały słońca i światy jeszcze głębszej ciemności. Przyszły mu na myśl stare legendy Ostatecznego Chaosu, w którego wnętrzu spoczywa sobie wygodnie niewidomy bóg-idiota Azathoth, Pan Wszystkich Rzeczy, otoczony horądą bezmyślnych i bezkształtnych tancerek, ukołysany cichą, monotonna melodią szatańskiego fletu utrzymanego w ohydnych szponach.

Nagle jakiś ostry sygnał z zewnętrznego świata wyrwał go z odrętwienia i uświadomił mu cały koszmar sytuacji, w jakiej się znalazł. Nie miał pojęcia, co to było - może jakiś spóźniony odgłos fajerwerków rozbłyskujących przez całe lata na Federalnym Wzgórzu, którymi mieszkańcy czcili rozmaitych swoich świętych i patronów albo też świętych czczonych jeszcze w ich rodzinnych wioskach we Włoszech. W każdym razie skutek był taki, że krzyknął na cały głos, zeskoczył w największym przerażeniu z drabiny i na oślep torował sobie drogę w zagraconym i spowitym gęstym mrokiem pomieszczeniu.

Z miejsca zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje, i nie bocząc na nic zaczął pędzić w dół po spiralnych schodach, obcierając skórę i potykając się na każdym zakręcie. Potem uciekał przez ogarniętą nocną zmorą nawę, pełną rozsianej pajęczyny, której widmowe łukowate sklepienie sięgało królestwa złowieszczonego cienia, przedarł się przez zaśmieconą piwnicę na świat powietrza i oświetlonych ulic; pędząc jak szalony po widmowym wzgórzu szmerzących kalenic znalazł się w ponurym, cichym mieście wysokich, czarnych wieżyc i pokonawszy stromy teren w kierunku wschodnim dotarł wreszcie do starych drzew okalających jego dom.

Nazajutrz rano, kiedy odzyskał świadomość, leżał na podłodze w gabinecie, kompletnie ubrany. Był zakurzony i omotany pajęczyną, całe ciało miał obolałe i podrapane. Spojrzawszy w lustro zobaczył, że włosy ma osmalone, a

wierzchnie okrycie przesiąknięte jest jakimś potwornym zapachem. Wtedy to właśnie nerwy odmówiły mu posłuszeństwa. Potem już snuł się tylko po mieszkaniu w szlafroku, zupełnie wyczerpany, i prawie nic nie robił, tylko wyglądał przez zachodnie okno i drżał na samą myśl o nadciągającej burzy, wpisując oszalałe lękiem uwagi w swoim pamiętniku.

8 sierpnia, tuż przed północą, rozpętała się straszna burza. Błyskawice szalały nad całym miastem, dwukrotnie uderzył piorun. Padał ulewny deszcz, a nieustannie rozlegające się grzmoty spędzały sen z oczu tysiącom ludzi. Blake był półprzytomny z lęku o oświetlenie elektryczne i około pierwszej po północy usiłował się dodzwonić do dyspozytorni energetycznej, ale niestety łączność była już przerwana ze względów bezpieczeństwa. Wszystko notował w pamiętniku - dużymi, nerwowymi i nieczytelnymi literami, wykazując coraz bardziej nasilający się strach i rozpacz - a robił to na wyczucie, po ciemku.

Musiał u siebie u pokoju zgasić światło, żeby coś widzieć przez okno, a jak się okazuje, większość czasu spędził przy biurku wpatrując się z niepokojem ponad lśnącymi w deszczu milami dachów miejskich domów w konstelację dalekich światła znaczących Federalne Wzgórze. Co pewien czas po omacku robił notatki w pamiętniku, a odrwane zdania, takie jak: "Nie mogą wyłączyć światła", "Ono wie, gdzie jestem", "Muszę to zniszczyć", "Przywołuje mnie, ale może tym razem nie chce mnie skrzywdzić", są rozrzucone na dwóch stronicach.

Światło zgasło w całym mieście. Stało się to dwanaście minut po drugiej, wedle odnotowanych danych w elektrowni, jednak pamiętnik Blake'a tego nie precyzuje. Jest tylko następujący zapis: "Światło wyłączona - Boże dopomóż mi". Na Federalnym Wzgórzu ludzie byli równie zaniepokojeni jak Blake, przemoknięci do suchej nitki skupili się na placu i uliczkach otaczających złowrogi kościół ze świecami osłoniętymi parasolami, z latarkami, lampami, krucyfikami i innymi dziwnymi symbolami zakłęb, właściwymi obszarom południowych Włoch. Błogosławili każdy przebłysk na niebie, robiąc tajemnicze i pełne lęku gest prawą ręką, gdy wskutek oddalającej się burzy błyskawice pojawiały się coraz rzadziej, aż w końcu całkiem ustały. Nasilający się wiatr pogasił prawie wszystkie świece, a całą scenerię okrył groźny mrok. Ktoś wyrwał ze snu ojca Merluzzo z kościoła Spirito Santo, który natychmiast pośpieszył na ponury plac i wypowiedział kilka kojących słów. Nikt nie miał wątpliwości, że z mrocznej wieży dochodzą jakieś pełne niepokoju i dziwne odgłosy.

Na potwierdzenie tego, co się zdarzyło o 2.35, mamy zeznanie księdza, młodego, inteligentnego i wykształconego człowieka; pełniącego służbę policjanta, Williama J. Monohana z komendy głównej, człowieka najwyższej wiarygodności, który zatrzymał się w tej części podlegającego jego kontroli rejonu, aby mieć baczenie na zebrany tłum; i większości z siedemdziesięciu ośmiu osób, które zebrały się przy wysokim wale otaczającym kościół - a zwłaszcza tych stojących na placu od strony wschodniej fasady kościoła. Nie zdarzyło się oczywiście nic, co by świadczyło o zjawisku wykraczającym poza prawa przyrody. Przyczyn tego zjawiska może być wiele. Nikt nie może twierdzić z pełnym przekonaniem, że nastąpił jakiś niejasny proces chemiczny, który zaszedł w ogromnym, nie przewietrzanym i dawno opuszczonym budynku, pełnym nagromadzonych tam rozmaitych przedmiotów. Smrodliwe opary - nagły wybuch - ciśnienie gazów powstałych na skutek długiego rozkładu - każde z rozlicznych zjawisk mogło się do tego przyczynić. W takim przypadku, oczywiście, świadoma szarlataneria musi być wykluczona. Zdarzenie to samo w sobie było całkiem proste i trwało niecałe trzy minuty. Ojciec Merluzzo, zawsze bardzo dokładny, cały czas spoglądał na zegarek.

Rozpoczęło się to wyraźnym nasileniem głuchych, szeleszczących odgłosów wewnątrz mrocznej wieży. Z kościoła zaczęły się wydostawać dziwne i nieprzyjemne zapachy, które w tym momencie stały się dość intensywne. Następnie rozległ się odgłos pękającego drzewa i ogromny, ciężki przedmiot spadł na dziedziniec od strony posępnej wschodniej fasady kościoła. Świeci nie paliły się, wobec czego wieża nie było widoczna, ale gdy przedmiot ten znalazł się już na ziemi, wszyscy widzieli, że jest to okopcona okiennica wschodniego okna.

Nagle dotarł z niewidzialnych wysokości fetor nie do zniesienia, od którego drżących widzów ogarnęły mdłości, niemal się dławili, a wszystkich na placu prawie ścięto z nóg. Jednocześnie powietrze zadrżało od wibracji trzepoczących skrzydeł, a nagły poryw wiatru ze wschodu, o wiele gwałtowniejszy niż wszystkie poprzednie poddmuchy, porzucił z głów kapelusze i wyrwał z rąk ociekające parasole. Nic określonego nie dało się zauważyć w tę ciemną noc, choć niektórzy spośród obserwatorów patrzących w górę odnieśli wrażenie, że na tle atramentowego nieba widzieli ogromną, czarną smugę - coś jakby bezkształtną chmurę dymu, która wystrzeliła w kierunku wschodnim z prędkością meteoru.

I to było wszystko. Co, którzy to widzieli, ośłupieli z przerażenia, grozy i niepewności, nie wiedzieli, co mają robić i czy w ogóle coś robić. A ponieważ nie wiedzieli, co się stało, nie potrafili się uwolnić od czujności; toteż już po chwili, kiedy ostra błyskawica zanikającej burzy, a potem szarpący uszy grzmot objęły niebo, natychmiast rozpoczęli modły. Za jakieś pół godziny deszcz przestał padać, a po piętnastu minutach latarnie się zapaliły i dopiero wtedy zmęczeni i przemoknięci ludzkie z ulgą wrócili do swych domów.

Następnego dnia w gazetach zamieszczono wiadomość o burzy, przy okazji napomykając tylko o towarzyszących jej okolicznościach. Okazało się, że burza szalejąca na Federalnym Wzgórzu miała jeszcze większe nasilenie dalej, w kierunku wschodnim, gdzie rozniósł się także jakiś szczególny rodzaj fetoru. Zjawisko wystąpiło najwyraźniej nad College Hill, gdzie huk pękającego drzewa zbudził mieszkańców i spowodował falę niesamowitych domysłów. Spośród tych, którzy się zbudzili, tylko kilka osób dostrzegło niezwykle blask na szczycie wzgórza albo też zauważyło niewytłumaczalny wir powietrza w górę, który strącił prawie wszystkie liście z drzew i zniszczył rośliny w ogrodach. Zgodnie twierdzono, że piorun musiał uderzyć gdzie w bliskim sąsiedztwie, ale nie znaleziono nigdzie żadnego śladu. Młody człowiek ze stowarzyszenia Tou Omega opowiadał, że widział groteskowy i odrażający kłęb

dymu w powietrzu w momencie, gdy pojawiła się pierwsza błyskawica, lecz jego spostrzeżenie nie zostało potwierdzone. Jednakże wszyscy obserwatorzy są zgodni co do jednego, że ostatni grzmot został poprzedzony gwałtownym podmuchem wiatru od zachodu i strasznym, wprost nie do zniesienia zapachem; natomiast powszechnie stwierdzano ulotną woń spalenizny tuż po uderzeniu pioruna.

Omawiano to wszystko bardzo dokładnie ze względu na prawdopodobieństwo związku tych wydarzeń ze śmiercią Roberta Blake'a. Studenci z domu Psi Delta, których okna na piętrze znajdowały się naprzeciw gabinetu Blake'a, zauważyli dziewiątego lipca rano w oknie wychodzącym na zachód jego bladą twarz i zastanawiali się nad jej dziwnym wyrazem. Kiedy wieczorem stwierdzili, że twarz i pozycja Blake'a nie uległy zmianie, zaniepokoił się i czekali na zapalenie światła w jego gabinecie. Później zadzwonili do nie oświetlonego mieszkania, po czym z pomocą policjanta wyważyli drzwi.

Sztwyne ciało tkwił w pozycji siedzącej przy biurku, twarz o szklistych, wytrzeszczonych oczach była wykrzywiona w konwulsyjnym strachu. Na ten widok wszyscy rozpięchli się, bo aż im się mdło zrobiło od tego przerażającego widoku. Wkrótce potem lekarz sądowy dokonał oględzin i mimo całych szyb w oknie stwierdził szok spowodowany elektrycznym wyładowaniem albo napięcie nerwowe z tej samej przyczyny. Natomiast zupełnie zignorował wyraz przerażenia na twarzy Blake'a, poczytując to za prawdopodobny skutek wielkiego szoku, typowego dla człowieka o tak chorobliwej wyobraźni i tak niezrównoważonego. Wyciągnął ten wniosek na podstawie książek, obrazów i rękopisów znalezionych w mieszkaniu i pisanych na oślep spostrzeżeń w pamiętniku leżącym na biurku. Blake notował szaleńcze uwagi do samego końca a ołówek ze złamanym grafitem tkwił w jego spazmatycznie zaciśniętej prawej dłoni.

Notatki po wyłączeniu światła były bardzo chaotyczne i niezbyt czytelne. Na ich podstawie niektórzy badacze wyciągnęli zupełnie inne wnioski, niż głosił oficjalny werdykt, ale tego rodzaju spekulacje nie są nigdy uznawane za wiarygodne przez ludzi konserwatywnych. Wnioski obdarzonych wyobraźnią teoretyków nie zostały wsparte czynem przesądnego doktora Dextera, który wrzucił tę dziwną skrzynię i wielokątny kamień - przedmiot niewątpliwie iluminujący światło w mrocznej, pozbawionej okien wieży, gdzie został odnaleziony - do najgłębszego kanału w zatoce Narragansett. Nadmierna wyobraźnia i neurotyzm Blake'a, wzmożone poznaniem dawno minionego szatańskiego kultu, którego szokujące ślady odkrył, nadają szczególnego znaczenia zamieszczonym później ostatnim notatkom pisanych w szaleństwie lęku. Oto właśnie te notatki - albo te to wszystko, co udało się odtworzyć.

"Światło wciąż wyłączone... chyba już z pięć minut. Wszystko zależy od błyskawic. Oby trwały jak najdłużej! Mają jakiś wpływ na to wszystko... Deszcze, pioruny i wiatr ogłuszający... Ta rzecz działa na mój umysł.

Kłopoty z pamięcią. Widzę rzeczy, o których dotąd nie miałem pojęcia. Inne światy, inne galaktyki... Ciemność... Błyskawice wydają się ciemnością, a ciemność światłem.

Nie może to być prawdziwe wzgórze i prawdziwy kościół. To z pewnością wrażenia, jakim podlega siatkówka oka na skutek błyskawic. Bogu dzięki, że Włosi stoją z zapalonymi świecami, w razie gdy ustaną błyskawice.

Czego ja się boję? Nie jest to przypadkiem wcielenie Nyarlathotepa, który w starożytnym i tajemniczym Khemie przybrał nawet postać człowieka? Pamiętam Yuggoth i jeszcze bardziej odległa Shaggai, a także najdalszą próżnię czarnych planet.

Długi szybujący lot przez pustkę... nie może przebyć świata jasności... odtworzonymi myślami uwięzionymi w Świecącym Trapezoedrze... wysłał je przez straszliwe pustynie promieniowania...

Nazywam się Blake - Robert Harrison Blake z East Knapp Street, Milwaukee, Wisconsin... Jestem na tej planecie...

Azathoth, miej litość!... błyskawice już nie rozjaśniają nieba... straszne... widzę wszystko jakimś niesamowitym zmysłem, który nie jest wzrokiem... światło jest ciemnością, a ciemność jest światłem... ludzie na wzgórzu... straż... świece i czary... ich księża...

Poczucie odległości zatracone... dalekie jest bliskie, a bliskie dalekie. Żadnego światła... ani szkła... widzę tych ludzi... widzę tę wieżę... okno... słyszę... Roderick Usher... oszalałem albo zaraz oszaleję... ta rzecz porusza się i trzepoce w wieży... to ja jestem tą rzeczą, a ona mną... chcę się wydostać... muszę się wydostać i zjednoczyć siły... Ona wie, gdzie się znajdują. Jestem Robert Blake, ale widzę w ciemności wieżę. Niesamowity odór... zmysły przeistoczone... żaluzje w oknie wieży trzeszczą i odpadają... lii... ngai... ygg...

Widzę... przybywa tutaj.. niesamowity wiatr-tytan... niewyraźne czarne skrzydła... Yog-Sathoth, ocal mnie... trzyplątowe płonące oko..."

Autor: Howard Philips Lovecraft

[Początek]